TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

ROZDARCI MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

Adam Szabelak · 20 października 2020

Wszyscy chyba intuicyjnie wyczuwamy, że wkraczamy w czas przełomu. Pod pozornie spokojną na ten moment kopułą historii coś rośnie, pęcznieje. Trudno dokładnie określić co, ale to z pewnością się dzieje. Spory nabierają ostrości, dyskusje zajadłości. Kończy się okres letniości, nadchodzi nowa epoka – raczej nie długiej zimy. To już było. Spodziewać się należy raczej gwałtownego wzrostu temperatury. Jak Polska jest na te zmiany przygotowana? Ano nijak.

Wciśnięci między Wschód i Zachód, przepełnieni jesteśmy nienawiścią i pogardą do tego pierwszego oraz kompleksami i bezkrytycznym podziwem wobec drugiego. Jednak wyraźnie widać, że mozolnie układany od co najmniej trzech dekad obraz świata, coraz poważniej rozmija się z rzeczywistością. Polak-katolik raz po raz dostaje od życia po głowie, ale skutkuje to jedynie tym, że odwraca on głowę i zaciska mocniej usta.

„Uniwersalne prawa człowieka"

W ostatnich tygodniach cios wyszedł ze strony namiestnik USA na Polskę, Georgette Mosbacher. Najpierw podpisała ona list 50 ambasadorów w sprawie sytuacji osób z różnymi zaburzeniami seksualności w naszym kraju. Obok niej swoje podpisy złożyli pod nim przedstawiciele krajów niezbyt usilnie promujących agendę LGBT u siebie, ale silnie związanych ze Stanami Zjednoczonymi – wymienić można chociażby Albanię, Japonię, Łotwę, Litwę, Wenezuelę, Indie czy Serbię. W liście wyrażono „poparcie dla starań o uświadamianie opinii publicznej w kwestii problemów, jakie dotykają społeczność gejów, lesbijek, osób biseksualnych, transpłciowych i interpłciowych (LGBTI) oraz innych mniejszości w Polsce", a rządzących wezwano do „ochrony" osób ze środowiska LGBT „przed słownymi i fizycznymi atakami oraz mową nienawiści". Dyplomaci zaapelowali nawet o ukształtowanie polityki wewnętrznej w pożądanym przez nich kierunku. Wezwano Polaków, aby „pracować na rzecz niedyskryminacji, tolerancji i wzajemnej akceptacji", co powinno być wykonane w ramach „sfer takich, jak edukacja, zdrowie, kwestie społeczne, obywatelstwo, administracja publiczna".

Następnie uwaga dziennikarzy zwróciła się w kierunku namiestnik USA, mimo że to ambasada Belgii formalnie koordynowała całą akcję. Mosbacher bardziej szczegółowo przedstawiła stanowisko imperium w sprawie kolonizacji ideologicznej podczas wywiadu z Marcinem Makowskim dla Wiadomości WP. Można jej wypowiedzi uznać za manifest współczesnego zachodniego neokolonializmu. „Polska posiada na Zachodzie reputację kraju nieprzyjaznego mniejszościom seksualnym. To się przekłada na niekorzystne decyzje inwestycyjne. Ma również wpływ na sprawy militarne. Nie jest tajemnicą, że wielu kongresmanów jest zaangażowanych w sprawy LGBT. Te kwestie łączą Donalda Trumpa i Joe Bidena" – stwierdziła Mosbacher – „Stany Zjednoczone wierzą w równość wszystkich ludzi. W pełni rozumiem i szanuję fakt, że Pol-

ska jest krajem katolickim – nikt nie chce tego podważać. Niemniej musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko. Używanie tego typu retoryki wobec mniejszości seksualnych jedynie wyobcowuje Polskę, przekładając się też na konkretne decyzje biznesowe" – dodała.

„Mam ogromny szacunek do religijnej tradycji kraju, w którym jestem ambasadorem, ale prawa człowieka to prawa człowieka – są uniwersalne bez względu na dominującą religię" – podsumowała ambasador USA.

> **Tłumacząc z pańskiego na nasz – miejta polaczki swój folklor, śmieszne krzyżyki, Maryjki i inne tego typu badziewia. Ale zapamiętajcie, jak wół pierdzi to obora słucha. Wymyśliliśmy prawa człowieka, mamy czołgi i pieniądze, więc musicie je sobie wziąć do serduszka i powpisywać to gdzie trzeba. Bo inaczej się pogniewamy. Miejcie swoją religię, ale pamiętajcie, że „prawa człowieka", są uniwersalne. Zrozumieliście? U-n-i-w-e-r-s-a-l-n-e. To teraz powtórzcie – u-n-i-w-e-r-s-a-l-n-e. Aborcja i LGBT to część p-o-s-t-ę-p-u, który dokonuje się b-e-z w-z-g-l-ę-d-u n-a w-s-z-y-s-t-k-o. Marksistów godny determinizm.**

Słowa te aż ociekają bezczelnością i każdy człowiek dysponujący choćby resztkami własnej godności, zareagowałby jakkolwiek, choćby w sferze symbolicznej przez wydalenie z kraju butnej ambasador. Co zrobili jednak rządzący? Błyskawicznie poparli projekt zmian w art. 257 kodeksu karnego, który obecnie zakazuje publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej i z powodu bezwyznaniowości. Przepis miałby zostać rozszerzony o nowe przesłanki: płeć, wiek, niepełnosprawność, tożsamość płciową i orientację seksualną. Dziś za wyżej wymieniony czyn grozi do trzech lat więzienia, a po zaproponowanej zmianie sankcja wzrosłaby do lat pięciu.

Na łamach Kresy.pl Karol Kaźmierczak zauważył: „Stany Zjednoczone Ameryki od swojego zarania nie są normalnym państwem narodowym lecz projektem politycznym opartym na ideologii oświeceniowego liberalizmu, który zawsze zawierał element uniwersalistycznego roszczenia". „Exceptionalism", czyli poczucie własnej wyjątkowości, szybko doprowadziło Amerykanów do wniosku, że cały świat powinien wyglądać tak, jak ich kraj. „Przekonanie to jest rdzeniem kultury politycznej amerykańskiej elity, ale jest też szeroko zakorzenione w całym społeczeństwie" – pisze Kaźmierczak – „Uzależnienie od USA, ustawienie się w roli ich protektoratu, postrzeganie polityki w kategoriach blokowych i wtapianie w konsolidujący się blok, o ile USA uda się taki stworzyć, oznacza w dłuższej perspektywie pogodzenie się z liberalną dekonstrukcją kulturową. Bazy wojskowe USA idą w pakiecie z agendą LGBT. To nie jest prosty wybór strategiczny. To wybór cywilizacyjny" – dodaje. Trudno się z nim nie zgodzić.

Kompleks zbawcy i biali Murzyni Europy

Zachód (szeroko pojęty) okazuje się agresywną bestią, obciążoną XIX-wieczną kolonizatorską mentalnością, brzemieniem białego człowieka, gotową narzucać białym Murzynom Europy, peryferyjnym kmieciom, własną, jedynie słuszną „prawdę".

> **Tak jak swego czasu w Afryce czy Azji, tak teraz u nas, oświeceni panowie nie zauważają, że są na ziemi ludu, który już co nieco w historii osiągnął i ma co nieco do powiedzenia. Inna sprawa, ze tubylczy chłop z pokory tego głośno nie mówi i z tego powodu nawet zaczyna jaśnie panu wierzyć.**

W tej chwili głos warto oddać jednemu z największych umysłów XX wieku – Chestertonowi, który w swoim stylu podsumował to zachodnie zaślepienie wynikające z „kompleksu zbawcy", widoczne wcześniej na przykład w odniesieniu do Indii.

„Od wieków wszystkie narody Europy, Anglia w takim samym stopniu, jak inne, krążyły bez końca wokół metafizycznego problemu bytu, pesymizmu i optymizmu, wielości i jedności. Przez cały ten czas istniała natomiast w Indiach wielka i logiczna filozofia, która, prawdziwa czy fałszywa, była, w przypadku bardzo wielu angielskich filozofów, dokładnie tym, czego poszukiwali; w przypadku zaś bardzo wielu z nich – dokładnie tym, co mówili. Wiek osiemnasty pełen był smutnych i dzikich spekulacji; jego reprezentanci nie byli jednak w stanie zabawić się na spekulację tak nieokiełznaną i przygnębiającą jak ta, że ich ponura filozofia została zredukowana do swoich najlogiczniejszych elementów przez nagich, brązowych ludzi w azjatyckiej dziczy. Dziwna jest myśl, że kiedy biedny Robert Clive stał z pistoletem w ręku i pytał sam siebie o wartość życia i śmierci, mógł nauczyć się od jakiegoś obdartego fakira, którego traktował jak śmiecia, pesymizmu nieskończenie głębszego i bardziej racjonalnego, niż jego własny. Anglicy nie potrafili go odszukać – nie potrafili zorientować się, że jest tam, gdzie jest. Odkrycie największego ze wszystkich filozoficznych schematów rozpłynięcia się osobowości w czymś innym od niej, stało się zadaniem Schopenhauera, Niemca. Nie miał rąk związanych całkowitą bezsilnością imperium".

Opisując niekompatybilności hinduskiej cywilizacji i demokracji Chesterton doszedł do wniosku: „Żadne prawa wyborcze, jakkolwiek szerokie, żadna polityczna maszyneria, jakkolwiek perfekcyjna, nie mogłaby uczynić przemądrzałego, rozgadanego, zeuropeizowanego łowcy przygód z Bengalu reprezentantem Indii. Nic nie mogłoby zmienić faktu, że zawsze będzie on pogardzał starożytnym, wiejskim życiem tego kraju, owo wiejskie życie zaś, w sposób znacznie bardziej usprawiedliwiony, zawsze będzie pogardzało nim. (...) Podobny schemat przyniósłby Indiom demokratyzację w dokładnie takim samym stopniu, w jakim Anglii przyniosłoby ją organizowanie co trzy lata wyborów powszechnych, w których wielka dusza narodu realnie decydowałaby, kto jest najlepszym puzonistą. Zatem, owa fundamentalnie hojna, angielska idea, jakobyśmy musieli obdarowywać wszystkie krańce ziemi, na które tylko możemy wpłynąć, naszymi instytucjami politycznymi, upada – i to upada, jeśli można tak powiedzieć, z hukiem (...) Stojąc z Indiami twarzą w twarz, musimy przyznać, że to, co jest pożywieniem dla jednego narodu, dla drugiego narodu jest trucizną. W momencie zaś, w którym uznaliśmy ów fakt, jednym uderzeniem zdruzgotaliśmy całe pojęcie rozpowszechniania wszędzie anglosaskiej cywilizacji, tak podstawowe dla naszego obecnego imperializmu". Taką trucizną, niepasującą ani trochę do naszego narodu, są „prawa człowieka", wciskane nam przez świat zachodni (na czele organizacjami pokroju Amnesty International), rozszerzone o aborcję i „prawa gejów".

Zachód przytłoczony swoją nietolerancyjną przeszłością chce nam narzucać „tolerancję", a nie jest w stanie dostrzec, że mógłby się jej (i nie tylko) od nas uczyć. Zwrócił na to uwagę Rafał Ziemkiewicz w swojej niedawno wydanej książce „Cham niezbuntowany". Stworzyliśmy kiedyś państwo (do ideału było

mu oczywiście daleko), do którego ciągnęli ludzie ze wszystkich stron świata. Ludy ościenne chcąc korzystać z polskich osiągnięć cywilizacyjnych garnęły się do federacji z nami. Byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, tłukliśmy imperialistów szkopskich, ruskich i tureckich. Stworzyliśmy republikę z parlamentem i obieralnym władcą, którzy byli odpowiedzialni przed prawem i obywatelami, cieszącymi się szerokimi swobodami oraz tolerancją religijną (inna sprawa oczywiście, że doskonale wiemy jak to się skończyło – jednak, bądź co bądź, taki jest właśnie dzisiejszy zachodni ideał społeczeństwa). To my rozwinęliśmy twórczo doktrynę wojny sprawiedliwej. Nasza konstytucja była druga na świecie, a może byłaby nawet pierwsza, gdyby nasi chłopcy nie pomogli hamburgerom w ich walce o niepodległość. Nie ganialiśmy specjalnie Żydów ani gejów, mieliśmy dużo ważniejsze sprawy na głowie. To my przyznaliśmy kobietom prawa wyborcze przy pierwszej możliwej okazji, kiedy większość zachodnich krajów nawet nie była w stanie się o tym zająknąć. To my, ledwo odzyskawszy byt państwowy, powstrzymaliśmy pochód komunistycznego motłochu, pragnącego zniszczyć wszystko co europejskie. Gdy naziści zaczęli poddawać nasz naród bezprzykładnej w dziejach świata eksterminacji, to my organizowaliśmy, nawet w samym środku piekła na ziemi, ruch oporu. To nasza Solidarność stanęła sowietom kością w gardle przy głosach zachwytu płynących z całego świata. Teraz kobiety u nas zarabiają całkiem nieźle (a przynajmniej bardzo podobnie do mężczyzn), są przedsiębiorcze i zaradne, a także bezpieczne (wg badań Eurostatu z 2017 roku w Polsce gwałt zdarza się 1,89 razy na 100 tys. mieszkańców, w Wielkiej Brytanii 92,8/100 tys.). A „panowie" z Waszyngtonu, Brukseli i Berlina chcą nas pouczać, jak mamy żyć. Niedoczekanie.

Patrząc na Wschód

A co oferuje nam Wschód? Jak kawa na ławę wykłada to Nikołaj Patruszew, „prawa ręka Putina", w artykule opublikowanym 17 czerwca br. w „Rossijskiej Gaziecie". Były oficer KGB i szef FSB całkiem trafnie diagnozuje problem z zachodnim „uniwersalizmem" i kreśli wizję czegoś zupełnie odwrotnego. Gdzie Zachód mówi „tak", Wschód mówi „nie". Takie postawienie sprawy idealnie wpasowuje się w biegunowe myślenie, do którego tak bardzo jesteśmy przyzwyczajeni.

W sferze społecznej zachodni neoliberalizm „narzuca indywidualizm, egoizm, kult przyjemności, nieokiełznaną konsumpcję, absolutyzuje wolność wypowiedzi". Jednocześnie Patruszew zauważa, że wcale nie wszyscy uważają te „anty-wartości" za „uniwersalne". Za przykład podana została Francja, gdzie w 2013 roku 300 tysięcy ludzi protestowało na ulicach Paryża przeciwko legalizacji małżeństw osób tej samej płci. Głosowanie w Zgromadzeniu Narodowym podzieliło je niemal na pół (z 565 głosujących 225 parlamentarzystów było przeciwnych przyjęciu ustawy). „Biorąc pod uwagę poziom polaryzacji społeczeństwa francuskiego w tamtym czasie, powstaje pytanie, czy te wartości są naprawdę <<uniwersalne>>, czy też są one przez kogoś sztucznie narzucane?" – retorycznie pyta – „Nowe zachodnie wartości zmieniły się w narzucanie światu obcych światopoglądów. Zachodni ideolodzy stawiają przed wyborem całe kraje i narody – albo zaakceptujecie <<wartości uniwersalne>>, albo wasze wartości będą błędne, niemoralne (...) Zachód dąży dziś do wprowadzenia neoliberalnych dogmatów do świadomości obywateli Rosji i naszych rodaków na całym świecie, atakując nie tylko tradycyjne rosyjskie wartości duchowe i moralne, ale także prawdziwe, prawdziwie wspólne dla ludzkości wartości, podważające fundamenty państw" – ocenia Rosjanin.

Koncepcja „tradycyjnych rosyjskich wartości duchowych i moralnych" w sposób zwięzły, „daleki od wyczerpania tematu", zapisana została w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej. Obejmuje ona w szczególności „wyższość ducha na materią, ochronę życia ludzkiego, praw i wolności człowie-

ka, rodziny, pracy twórczej, służbę Ojczyźnie, standardy moralne, humanizm, miłosierdzie, sprawiedliwość, wzajemną pomoc, kolektywizm, historyczną jedność narodów Rosji, ciągłość historii naszej Ojczyzny".

„Równie ważną listę" wartości przedstawiono w Strategii rozwoju edukacji w Federacji Rosyjskiej na okres do 2025 r. Ma ona opierać się na takich zasadach jak: „filantropia, sprawiedliwość, honor, sumienie, wola, godność osobista, wiara w dobroć i chęć wypełnienia moralnego obowiązku wobec siebie, swojej rodziny i Ojczyzny".

To ma być „duchowa i moralna podstawa" rosyjskiego społeczeństwa.

> **„W przeciwieństwie do Zachodu Rosja faktycznie oferuje nowy wybór cywilizacyjny, którego treść obejmuje równość, sprawiedliwość, brak ingerencji w sprawy wewnętrzne, brak tonu mentora i wszelkie warunki wzajemnej korzystnej współpracy. Rosja proponuje ustanowienie suwerenności narodowej, w tym kulturalnej i duchowo-moralnej, jako największej wartości i fundamentu późniejszej budowy ludzkiej cywilizacji. Nie ulega wątpliwości, że liczba popierających taki wybór na świecie wzrośnie, tworząc coraz bardziej sprzyjające warunki do zapewnienia rozwoju i dobrobytu różnych krajów i narodów" – kończy Patruszew.**

Trudno jednak brać tę ofertę poważnie. Weźmy za przykład deklarowaną „ochronę życia ludzkiego". W Rosji dostępna jest aborcja „na życzenie" do 12 tygodnia ciąży, a w przypadku wskazań medycznych jest możliwa do przeprowadzenia przez cały okres trwania ciąży. Każdego roku w ten sposób mordowanych jest 750 tysięcy dzieci. Zaledwie jedna piąta wszystkich przypadków aborcji jest uzasadniania „wskazaniami medycznymi", czyli np. zagrożeniem życia matki. W 2005 roku z 1,6 miliona aborcji przeprowadzonych w Rosji, 20% dotyczyło kobiet poniżej 18 roku życia.

Na arenie międzynarodowej Rosjanie mogą czuć się zagrożeni przez NATO i jego ekspansywne działania chociażby na Kaukazie czy w Europie Wschodniej, ale aneksja Krymu w 2014 roku i sposób w jaki została przeprowadzona, nie nadaje autentyczności słowom o „suwerenności narodowej" i tworzeniu sprzyjających warunków „do zapewnienia rozwoju i dobrobytu różnych krajów i narodów". Wyraźnie widać w tym wszystkim pewną grę i wyrachowanie obliczone na tworzenie ideologicznej przeciwwagi dla Zachodu. To oczywiście przynosi efekty. Krzysztof Bosak komentując artykuł Patrick Edery'ego o katastrofalnej polskiej narracji w prasie francuskiej z 4 października br., napisał: „Żeby zobaczyć że Rosjanie odrobili zadanie domowe wystarczy po prostu bywać na międzynarodowych spotkaniach konserwatywnych oraz śledzić anglojęzyczne prawicowe media. Polski tam nie ma, Rosjanie tam są (bardziej kapitałowo, niż osobiście)". Cóż, jeżeli ktoś interesuje się tymi środowiskami, zapewne będzie miał podobne odczucia.

A może... Imperium?

Wydaje się, że ani Zachód, ani Wschód nie prezentują nam oferty cywilizacyjnej, którą moglibyśmy ze spokojnym sumieniem przyjąć. W takiej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak znaleźć własną drogę.

Już kiedyś to przecież zrobiliśmy – polskość XVI i XVII wieku stanowiła wartość cywilizacyjną. Możemy ją różnie oceniać, ale co do samej „bazy" nie ma raczej wątpliwości. Był to fenomen na skalę na pewno europejską, a być może i światową. Można czasem usłyszeć bajdurzenie o Rzeczpospolitej Wielu Narodów czy czymś podobnym, co nie oddaje istoty ówczesnej rzeczywistości. To polskość była czymś co pociągało te „wiele narodów" – oczywiście polskość zupełnie odmienna od tej dzisiejszej. To nie był związek ludów będących dla siebie całkowicie równoprawnymi partnerami. Polskość z czasem oddziaływała na ludność Wielkiego Księstwa Litewskiego bardzo silnie – np. 1696 roku język polski został ogłoszony państwowym w WKL. Ale już wcześniej jego mieszkańcy i tak ochoczo uczestniczyli w „cywilizacyjnym" projekcie Rzeczpospolitej, która absolutnie nie dążyła do brutalnego podporządkowania jednego ludu drugiemu, a opierała się na dobrowolnej współpracy z narodem, który po prostu miał coś do zaoferowania. Gdy gwiazda polskości zaczęła przygasać, rozpadło się również państwo, którym kierowała i współtworzyła razem z Litwinami, Tatarami czy Kozakami, przelewającymi za nią niejednokrotnie krew. Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny, dla przykładu, bez wątpienia Polakiem nie był. A jednak w oddaniu swojemu ludowi wiódł go na pola bitew, gdzie ten występował w obronie Rzeczpospolitej, bo to było w jego najlepszym interesie. I na tej zasadzie dzisiejsi Litwini, Białorusini czy Ukraińcy do dziedzictwa Rzeczpospolitej jak najbardziej mają prawo – niedobrze się jednak dzieje, że ci ostatni wolą odwoływać się do dziedzictwa powstań kozackich i postaci Chmielnickiego niż chociażby wspomnianego Sahajdacznego. Mit wyłącznie polskiej Rzeczpospolitej, do której nie miałyby prawa odwoływać się inne narody jest nam politycznie zbędny a wręcz szkodliwy. Jest też sprzeczny z faktami i prosty do obalenia na gruncie rzeczowej historycznej dyskusji. Koniecznością jest więc jego modyfikacja, przekształcenie w kierunku, który nie będzie w tak bezsensowny sposób kolizyjny z historiografiami narodów sąsiednich. Bo czyż nie przynosiłoby nam to większej chwały, że narody sąsiadujące z nami od wschodu widzą swoje korzenie w potężnej regionalnej wspólnocie, która koncentrowała się przecież wokół Krakowa a później Warszawy?

W wieku XIX i XX ukształtowały się w znanych nam dziś postaciach narody. Już sam ten fakt wymusił konieczność szukania nowych rozwiązań dla naszej części Europy, niebędącej ani Wschodem, ani Zachodem. W ten sposób zrodziła się idea Międzymorza. Koncepcję Józefa Piłsudskiego uznać można jednak za oderwaną od ówczesnej rzeczywistości, a nawet może wyprzedzającą w pewnym stopniu swoje czasy. Żaden z narodów mających tworzyć Międzymorze nie był na to gotowy, a II RP też nie była państwem, które mogłoby pełnić wśród nich rolę przewodnią. Piłsudski czerpał więc z tej współpracy tyle, na ile to służyło Polsce – i każdy jego ukłon w stronę Ukraińców czy Łotyszy był tym właśnie podyktowany. Na bardziej pogłębioną integrację jednak szans raczej nie było.

Współcześnie rozpędu nabiera koncepcja Trójmorza, zakładająca współpracę infrastrukturalną, energetyczną i ekonomiczną państw unijnych rozciągniętych między Bałtykiem, Adriatykiem a Morzem Czarnym. Co jest spoiwem tego projektu? Determinacja Stanów Zjednoczonych. W połowie września sekretarz stanu USA, Mike Pompeo, zauważył, że w świetle tego, co dzieje się dziś na Białorusi, Inicjatywa Trójmorza staje się jeszcze ważniejsza. Pompeo powiedział, że to „naprawdę dobra i ważna idea", a szef Atlantic Council (bezczelnie) stwierdził, że koncepcja Trójmorza „pierwotnie narodziła się" w tym amerykańskim think-tanku. Wielką jej zwolenniczką ma być ambasador USA w Warszawie, Georgette Mosbacher. Niedawno komisja spraw zagranicznych Izby Reprezentantów jednogłośnie przegłosowała projekt rezolucji wyrażającej poparcie dla tej inicjatywy.

Pierwsze amerykańskie „inwestycje" w obszar trójmorza wiązały się z finansowaniem przez CIA działal-

ności Jerzego Giedroycia i Kultury Paryskiej. Giedroycizm przesiąknął całą naszą klasę polityczną, która dziś w imię świętego spokoju i realizacji interesu USA jest w stanie chociażby poświęcać naszych rodaków na Litwie czy wznosić na Ukrainie banderowskie pozdrowienie. Dzisiejsze Trójmorze, karmione jagiellońskim mitem, na pewno nie jest odpowiedzią na stojący przed nami cywilizacyjny wybór, więcej nawet, okazać się może, że walnie przyczyni się do dezintegracji polskiego narodu. Za sztandarowy przykład takiego szkodliwego działania, będącego konsekwencją „jagiellońskiego" myślenia, można podać pomysł, który wypłynął z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów dotyczący ułatwienia procedur otrzymania polskiego obywatelstwa dla wszystkich potomków mieszkańców I Rzeczpospolitej...

O braku naszej oferty „cywilizacyjnej" świadczyć może np. postawa Czech, które Trójmorzu zaczynają sprzyjać tylko dzięki wzmożonemu zaangażowaniu USA, wcześniej widząc w nim raczej kolejny niepoważny przejaw polskiego mesjanizmu. Albo kuriozalna sytuacja, kiedy Polskie Radio Wincentego Kalinowskiego określa mianem „białoruskiego bohatera narodowego", bez zająknięcia się, że był on przede wszystkim bohaterem polskim w „starym", przednacjonalistycznym rozumieniu. Kalinowski bez wątpienia był Polakiem, który dla Polski żył, za Polskę walczył i dla Polski umarł. Jego przywiązanie do „białoruskości" (również w rozumieniu przednacjonalistycznym) nie niosło za sobą żadnej treści politycznej, zainteresowanie kulturą ludową nie oznaczało zaangażowania w działalność emancypacyjną tej grupy ludności wykraczającą poza ramy polskości. Kalinowskim jak najbardziej warto „dzielić się" z Białorusinami, może to być świetny symbol kultury, która wykracza poza swoje etniczne granice, symbol „imperializmu kulturowego", ale do tego trzeba zachować zwykłą uczciwość historyczną i... poczucie własnej godności?

> **Postulat imperializmu kulturowego związany jest z popularną w środowisku Konfederacji Narodu koncepcją Imperium Słowiańskiego. Miało ono grupować państwa położone między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem, oczywiście pod polskim przewodnictwem. W nim dostrzegano drogę do zwalczenia peryferyjności krajów tej części Europy i do zabezpieczenia przez imperializmem niemieckim i rosyjskim. Mimo „słowiańskości" w nazwie, w ramach Imperium było miejsce dla ludów bałtyckich, Węgrów czy Rumunów. Jak na razie wszystko pasuje jak ulał do znanej nam koncepcji Trójmorza. Środowisko narodowe rozbudowało ją jednak o elementy zupełnie dziś przemilczane, a wydaje się, że niezbędne w budowie Wielkiej Polski czy też prawdziwego Imperium – nowego ośrodka cywilizacyjnego, nie mającego nic wspólnego z szowinistycznym imperializmem.**

Andrzej Trzebiński, jeden z apologetów opisywanej koncepcji, kładł nacisk za Georges'em Sorelem i Stanisławem Brzozowskim na rolę mitu jako czynnika mobilizującego społeczeństwo do realizacji wielkiego celu. „Potrzebny [jest] mit kultury imperialnej. Mit wielkiej historii: ogień, który zapala sumienia, oczyszczając je z małości. (...) Istnieje głęboka i pełna odpowiedzialności konieczność wywołania w kulturze polskiej – a dziś przynajmniej przygotowania, jeśli nie wywołania – jakiegoś wielkiego, szerokiego, ogarniającego cały naród ruchu kulturalnego, który związałby ze sobą te dwa momenty polskiej rewolucji – mit o imperium i realistyczną, odważną wizję rzeczywistości otaczającej nas – i który byłby ruchem posuwania się po tej wielkiej drodze historycznej od tego, co realnie istnieje, ku temu, co być musi" – pi-

sał.

W tym celu postulował:

1. Musimy dać, musimy się zdobyć na ekspansję nie tylko wielkiej tradycji historycznej, ale i poczuwającej się do obowiązku wielkości – aktualności życia kulturalnego.

2. Polska idea kulturalna nie może być ideą polityczną: subiektywną ideą polskiej polityki. Będzie natomiast ponadpolską ideą kultury. Będzie dążyć do stworzenia wartości, w pewnym sensie, w sensie Europy środkowej – obiektywnych.

3. Polska idea kulturalna nie będzie zakapturzoną kulturą francuską, angielską czy w ogóle kosmopolityczną, ale własną, przez siebie stworzoną, odpowiadającą duchowi słowiańszczyzny.

W naszej obecnej sytuacji jesteśmy nie „bastionem", a skansenem Europy. To, co na Zachodzie już umarło, u nas trzyma się dzięki okresowi, jaki spędziliśmy w „zamrażarce" komunizmu. Nie chodzi o to, że jesteśmy bardziej europejscy od zachodnich Europejczyków – po prostu jeszcze za krótko chorujemy na liberalizm. Całkiem atrakcyjna wydaje się wizja nadania nowej formy starej treści i wydaje się, że to może być kierunek, który obrać może Polska budując własną drogę między Wschodem a Zachodem. W ten sposób możemy wytworzyć wartość cywilizacyjną, która przyciągać będzie narody Europy Środkowo-Wschodniej dziś, podobnie jak my, zagubione. Żeby to osiągnąć potrzeba całego legionu mężów stanu, świętych, artystów itd. Drogą do tego celu może być „rewolta przeciw współczesnemu światu" (ależ to pompatycznie brzmi!), o której pisałem szerzej na łamach portalu Narodowcy.net. Tylko w ten sposób nasza Ojczyzna zyska na autentyczności na arenie międzynarodowej. Ale to już zależy indywidualnie od każdego z nas... „Przecież z obfitości serca usta mówią".

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/rozdarci-miedzy-wschodem-a-zachodem/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć